Rozmaitości

Dnia 13. Lipca Nr 28. 1839 Roku.

SPOTKANIE SIĘ
W PALAIS-ROYAL.

Jedną z najdawniejszych i od gminu najbardziéj zwidzanych arkad w Palais-Royal jest bezprzecznie sklep, który ma numer sto trzydzieści. Pewnego poranku, gdy stary Molin, krawiec handlujący sukniami, pobudziwszy ze wschodem słońca czeladź swoję, rozkazał, aby na pokup powywieszano dziecięce suknie — artykuł, którym podówczas jego sklep słynął, a nawet i teraz jeszcze się odznacza — uczuł, iż go ktoś dosyć silnie po ramieniu uderzył. Urażony, że go z taką poufałością powitano, obrócił się z gniewem i zmarszczył czoło... ale spojrzawszy, zdziwił się niepomału, i zmieszany stanął jak wryty; usta jego, które już był na pół do kłótni otworzył, zamknęły się nagle, a ręka mimowolnie podniosła się do góry, jakby dla powitania szukając na głowie kapelusza, którego tam nie było. Molin ujrzał przed sobą jakiegoś wysokiego wzrostu nieznajomego, w jeneralskim, złotym galonem i piórami ozdobionym kapeluszu. Nieznajomy ten, mający żywe, iskrzące oko i wąs w górę zjeżony, oparłszy się na szabli, odwinął kolisty płaszcz, z pod którego złotem haftowany mundur, a na piersiach wielki krzyż legii honorowéj się ukazał. Wpatrzeni jeden w drugiego, stali obadwaj przez kilka chwil w milczeniu. »No! jakże się masz stary Molin?« rzekł nakoniec wojskowy, ubawiwszy się dostatecznie zdziwieniem krawca.

»Nie najgorzéj, łaskawy panie!« odrzekł starzec, nie wiedząc nawet sam co mówi, i patrząc z zdumieniem na jenerała, który podał mu z uprzejmością rękę.

»Zkądże ta obojętność? Widać, że ci szczęście służy, bo jesteś dumny, i swoich dawnych przyjacioł nie poznajesz. Oto już przez chwilę podaję ci rękę, a ty jéj uścisnąć nie chcesz, *sacrebleu!*«

»Przebacz jenerale, ale ja nié mam honoru...

»Ej co tam, nié mam honoru! Toż przez lat dziesięć tak już wszystko wypadło ci z pamięci, że nawet swojego najszczérszego przyjaciela, dawnego towarzysza oberży, któremuś nieraz śklanką wina i kotletem się przysłużył... owego wesołego gwardzistę Frańciszka, Józefa... Lefebvre, poznać nie możesz? Pójdź, niech cię uściskam starcze, przestań się dziwić i uściskaj mnie na wzajem. Że jestem księciem Gdańskim i marszałkiem francuzkim, przezto nie zostałem dumniejszym; ale dajmy temu pokój... Zapraszam się do ciebie na śniadanie. Każ przynieść dobrego wina i dwa kotlety, albo i cztéry, nie zaszkodzi; niechaj żyje wesołość! Będziemy pili za nasze zdrowie i przypomnimy sobie czasy naszéj młodości, a na dzień jutrzejszy zapraszam cię do siebie, do mojego pałacu; będziesz jadł obiad ze mną i z moją żoną, księżną panią, która przeto nie jest ani gorszą, ani dumniejsza, i która jeszcze bardzo dobrze pamięta owe czasy, kiedyto jak markietanka bukłak na plecach dźwigała.«

Łatwo sobie wyobrazić jak mocno stary Molin tém oświadczeniem był wzruszony. Śmiał się i płakał ni dziécię z radości, rzucił się marszałkowi w objęcie, ścikał go za rękę i wołał na swoję czeladź: »Patrzcie, patrzcie! oto mój przyjaciel Frańciszek!« i w tém uniesieniu dawał jéj różne, dosyć sprzeczne rozkazy względem urządzenia śniadania. Książę Gdański również mocno

wzruszony, oparł się o czworoboczny słup arkady; aż oto nagle uczuł, że go także po ramieniu uderzono. Gdy spojrzał po za siebie... zdziwienie i pomieszanie jego było zupełnie podobne do zdziwienia i pomieszania, jakie stary Molin przed chwilą okazał. Zaczerwienił się, i zdjąwszy z uszanowaniem z głowy kapelusz, przebąknął słów kilka; ale nowo-przybyły przerwał mu mowę skinieniem swojém. »Marszałku,« rzekł, »zapomniałem wziąć z sobą sakiewkę, albo mi ją skradziono. Wstąpiłem do kawiarni na śniadanie, a gdy przyszło do zapłacenia pokazało się, żem przy sobie nié miał pieniędzy. Nie wiém, jakbym sobie był w tym przypadku zaradził, gdybym cię był z daleka nie ujrzał. Zapłacże za mnie dług posługaczowi, który mnie towarzyszy, i daj mu napoleondora w nagrodę, że się tu trudził.«

Człowiek, który w ten sposób z marszałkiem mówił, był średniego wzrostu, a granatowy wytarty surdut i starodawny, również przeszarzany kapelusz jego, zakrawały bardziéj na ubóstwo, niż na hojność, z jaką posługacza od kawiarni obdarzył. Gdy posługacz odebrał swą zapłatę i odszedł, nieznajomy wziął marszałka pod ramię i nie czyniąc z nim żadnych zachodów, poprowadził go z sobą. Stary Molin zmartwiony, że jego dostojny gość tak nagle się oddalił, poskoczył za marszałkiem. »A cóż będzie z naszém śniadaniem?« zapytał, »nie zostanieszże u mnie Franciszku?« Książę odwróciwszy się do niego, potajemném skinieniem nakazał mu milczenie i poszedł za nieznajomym, z którym wkrótce za arkadami zniknął.

Podczas gdy krawiec powróciwszy do sklepu zły humor swój na czeladź wywiérać zaczął, opuścił marszałek z swym towarzyszem Palais-Royal i wsiadł do fiakra.

»Właśnie jak na zawołanie przyszedłeś w to miejsce; gdybyś był się nie nawinął, byłbym już zapewnie pod strażą siedział, żem śmiał bez pieniędzy zjeść śniadanie.« — »Ktożby się poważył twoję osobę panie tak obrazić?«

»Jam powinien był równie jak i każdy za śniadanie zapłacić, a nie miałem ani jednego franka w kieszeni. Ale co przytém jest najzabawniejszego, że oto ten papiér, który widzisz w moim ręku, jest assygnacyją na sto tysięcy talarów do skarbu cesarskiego. Sam wszakże przyznasz, żem takiego rewersu zmieniać nie mógł na zapłacenie pięć frank.«

»Assygnacyja na 300,000 franków?«

»Nie inaczéj; jestto podarunek, który jednemu z mych przyjacioł, pewnemu uczonemu dać zamyślam.«

»Uczonemu?« zawołał Lefebvre, »uczonemu 300,000 franków! I cóż on z tak wielką sumą pocznie? Przecież taką kwotą możnaby trzysta starych, wysłużonych żołniérzy na całe życie uszczęśliwić.«

Ten, do którego te zarzuty zmierzały śmiać się zaczął. »Jak widzę, mój waleczny Lefebvre, ty nie ciérpisz uczonych?«

»Tak; nie ciérpię ich, jak mi Bóg miły! Mało u mnie znaczą ludzie, którzy tylko ustawicznie nad staremi książkami siedzą, na nic się przydać nie mogą, a jednakże lepiéj są płatni niż marszałek francuzki.«

»Który przecież na coś się przydał, nie prawdaż? Alboż nie zapłacił dzisiaj za mnie śniadania?« przerwał mu mowę ten, który marszałka trzymał pod rękę, a teraz za ucho go pociągnął. »Nie bądź niesprawiedliwym, mój przyjacielu, tych trzykroć stotysięcy franków przeznaczyłem dla Bertholletego.«

»Dla Bertholletego?« odrzekł marszałek, »dla Bertholletego? nie znam tego człowieka.«

»A, ten żart zdaje się mi być za grubym! nie słyszałżeś nigdy o Bertholletym?«

»Ja znam po nazwisku wszystkich, którzy pod moimi rozkazami zostają, zacząwszy od jeneralnego adjutanta aż do najlichszéj markietanki. Reszta mnie nie obchodzi.«

»Dobrze i tak, nie gniewaj się. Postaram się, abyś z Bertholletym znajomość zabrał.«

»Dziękuję uniżenie; ja właśnie życzyłem sobie z moim przyjacielem, krawcem Molin, zjeść śniadanie.«

»A, teraz poznaję, zkąd ta nienawiść na uczonych! Pozbawiono cię śniadania. Poczekajże mój łakotnisiu, odpokutujesz mi za tó należycie. Miasto zapachu z kotletów u twego krawca, będziesz musiał czuć nie bardzo przyjemny zapach chloru i wodorodu. Naprzód, podwójnym krokiem, marsz! Zaznajomię cię z Bertholletym; jestto nie tylko mąż uczony, ale i waleczny; był on ze mną na wyprawie egipskiéj; żadne niebezpieczeństwo nie zdołało go odstraszyć od badań, któremi się zajmował. Jednego

razu płynął w barce po Nilu, a Mamelucy zaczęli na statek gradem kul miotać; towarzysze jego postrzegli, że obie kieszeni swojego surduta kamieniami napełnił. »Cóż wćpan zamyślasz?« zapytali go. — »Robię się cięższym, abym prędzéj zatonął,« odrzekł Berthollety; niech te łotry nie mają téj uciechy brać Francuza w niewolę.«

»Hm!« rzekł marszałek, »to było coś, co ja lubię.« Książę Gdański i towarzysz jego przybyli do *Arcueil,* i nie kazawszy się zapowiedzieć, weszli do pracowni chemika. Można sobie wyobrazić zdziwienie Bertholletego, gdy ujrzał w swoim domu Napoleona.

»Dla czegożto wćpan nie bywasz w Tuileryjach?« — »*Sire,*« odrzekł Berthollety, »wybudowałem sobie wielkie laboratoryjum; kosztorys wypadł nad moje obliczenie; byłem więc zmuszony ograniczyć moje domowe wydatki, pozbyć się koni i powozu, i dla tegoto u dworu ukazać się nie mogę.«

»Piękny mi powód; toż wćpan sądzisz, że ja nie znajdę jeszcze stotysięcy talarów, by niemi wesprzéć jednego z mych przyjaciół?« To rzekłszy Napoleon rzucił na stół assygnacyję, którą w ręku trzymał. Albożto mało masz u mnie zasług, abym ci nie dał sposobności odwidzania mnie w Tuileryjach? Chemija winna wćpanu ogromne postępy; wćpan to między innemi wynalazkami nauczyłeś świat przemysłowy sposobu bielenia płótna chlorem, a w nagrodę za to wszystko jesteś tylko członkiem akademii umiejętności i senatorem Montpellierskim. Mianuję go dyrektorem mojéj rękodzielni obić gobelińskich w Paryżu; posada ta została od wczoraj opróżnioną, a do zajęcia jéj nie masz godniejszego jak wćpan. Zamyślam teraz zatrudnić umysł wćpana nowém poszukiwaniem; chciałbym byś mógł zrobić odkrycie, które w oczach moich bardzo jest ważne. Idzie tu o to, jakim sposobem temu zaradzićby można, aby woda, którą marynarze w dalekie podróże biorą, nie psuła się, i przezto samo, że tak rzekę, nie była trucizną dla tych biédnych ludzi.«

Berthollety pomyślił przez chwil kilka. »Najjaśniejszy panie,« rzekł, »wielokrotne doświadczenia nauczyły mnie, iż wodoród łatwo z węglem się łączy, a węgiel znowu ma tę własność, iż w sobie wodoród zatrzymuje. W skutek tego zjawienia byłaby woda przez zetknięcie się jéj z węglem, od zepsucia na zawsze zachowaną... Dla utrzymania więc słodkiéj wody w czasie długiéj morskiéj podróży, dostateczna będzie, kazać powypalać wewnątrz beczki, które na wodę są przeznaczone. Ręczę mojém słowem, że ten środek jest niezawodny.«

»No, jakże marszałku! dobrzem użył moich pieniędzy?« zapytał cesarz księcia Gdańskiego. »Widzisz, oto rozmowa jednochwilowa więcéj niż 100,000 marynarzy życie ocali.«

Marszałek w odpowiedź podał uczonemu rękę: »Mój panie,« rzekł do niego, »wćpan godzien jesteś przyjaźni każdego prawdziwego Francuza. Dla tego chciéj mnie przyjąć za swego przyjaciela, i proszę zaszczyć nawzajem mnie swoją przyjaźnią.«

»Wy obadwaj jesteście godni jeden drugiego,« dodał Cesarz. »Obadwaj jesteście dziećmi własnych czynów; wćpan, mości Lefebvre, ubogi, alzacki żołnierz; a wćpan, mości Berthollety, ubogi syn Genewy; obadwaście jedynie swoją osobistą zasługą, swoją odwagą i wytrwałością dostąpili sławy, zasłużyli na wdzięczność ojczyzny, i pozyskali przyjaźń moję.« Potém zwróciwszy się do Berthollettego, rzekł: »Nie zapominaj wćpan odwidzać mnie w Tuileryjach. Wiadomo wćpanu jak mi jego odwidziny są miłe i jak bardzo lubię z nim rozmawiać.«

Napoleon wziąwszy znowu marszałka pod ramię, wsiadł z nim do pierwszego, którego spotkał fiakra, i zawiózł swojego towarzysza znowu przed sklep krawca. »Mości panie,« rzekł do niego; »oto przyprowadzam wćpanu na powrót jego gościa. Każ mu czém prędzéj dać śniadanie, bo już z głodu umiéra.«

»Gdybyś pan także był łaskaw być u mnie na śniadaniu razem z Franciszkiem...chcę mówić z panem marszałkiem,« odrzekł krawiec.

»Dziękuję wćpanu, ważne sprawy przymuszają mnie natychmiast do powrotu.«

»Będziemy mieli kapłuna z truflami i wino ...w jak najlepszym gatunku,« rzekł Molin, nalegając, aby nieznajomy został u niego.

»Jestem bardzo obowiązany! Chciéj przywołać fiakra, któregośmy w poblizkiéj ulicy o kilka kroków ztąd zostawili.« Marszałek odprowadził Cesarza do powozu, poczem znowu do starego Molina powrócił.

»Któżto jest ten jegomość w tym wytartym surducie?« zapytał krawiec. »Powiédz mu téż, aby sobie u mnie nowy surdut zamówił.«

»Jak widzę, mój Molin, twój gust nie jest najgorszy; w takim razie mógłbyć poszczycić się, żeś dla najsławniejszego męża w świecie surduty robił. Ale nie pójdziemyż już raz do śniadania?«

»O, i owszém; śniadanie już gotowe... ale któżto jest ten pan?«

»Cesarz!« odrzekł marszałek.

Molin gdy to usłyszał stanął jak wryty i wydziwił się nadzwyczajnie. »Cesarz Napoleon!...« Potém upamiętawszy się cokolwiek, rzekł: »Jednakże przyznać muszę, że ma bardzo lichego krawca. Do pioruna! gdybym ja miał ten zaszczyt być jego nadwornym krawcem, inaczéjby on u mnie wyglądał.« Tak mówił krawiec Molin z szlachetną dumą.

(Z francuzkiego S. Henryka Berthoud.)

DO KAROLINY
przy gitarze.

Twe śpiéwanie zachwyca, rozczula, przenika;
Brzmi przy tkliwym strón dźwięku uroczo i mile,
Rodzi uczuć tysiące w piersi śmiertelnika,
Przedstawia mu w marzeniach lube szczęścia chwile!

Lecz czém, gdy strony trącisz w akordy żałosne
Pierś twa ciężko oddycha, oddycha głęboko?...
Czém nócisz chętnie żale i dumy miłosne?
Gdy zamilkniesz, czém we łzach tonie twoje oko?

Dziewico! ciebie sama natura wybrała,
Aby czułość i miłość wraz połączyć z tobą;
Ona sama te czucia do serca ci wlała,
Ach! bo one są świetną dusz pięknych ozdobą!

Nóć, niech cię melodyja czuła nie przemienia,
Niech nie płoszy snu szczęścia zwodnego mamidła,
Niech zostanie człek w pośród szczęsnego marzenia,
By rozpacz, ocknionego nie ujęła w sidła!

Bo kiedy dźwięk strón przebrzmi, gdy śpiéw twój ustaje,
Duch się wyżéj unosić nie śmié skrzydły swemi;
Wątły na siłach, rzuca szczęśliwości kraje,
Ociężały, na powrót spuszcza się ku ziemi.

Okrutném jest dla człeka takie przebudzenie,
Myśl zanurza w przeszłości, srodze zawiedziony
Zapada w rzeczywistość, rzuca go marzenie.
I widzi — cel swych życzeń wiecznie oddalony!

O dziewico! osładzaj nasze ziemskie trudy,
Utulaj nas swém pieniem w błogich snów kolebie,
Byśmy zaczarowani w boski raj ułudy,
Marząc o szczęściu niebian — zapomnieli siebie.

T. MARKOWSKI.

NIC.
List Bułgaryna do księgarza A. P. Smirdyna.

»Od lat sześciu ujrzałem się nareszcie znowu w towarzystwie literatów i przyjaciół literatury, a to u wćpana w *Nowém-siole.**) W przeciągu tych lat sześciu tak wiele zmieniło się w naszych obyczajach, zdaniach, związkach i stosunkach literackich, iż się zdaje, jak gdyby każdy rok miał przeciąg lat dziesięciu. Jednym przez cały ten czas sprzyjał Apolo, ale przytém szczęście ich opuściło; do drugich uśmiéchała się Alinda, zdradziecka bogini szczęścia, ale zato gardził nimi bóg poezyi; inni znowu, a z tych, niestety najmniejsza liczba, byli obudwóch bóstw polubieńcami. Lecz porzućmy ten przedmiot, dosyć na tém, żeśmy byli u wćpana wszyscy zgromadzeni, jak gdyby na Jozefata dolinie.

Dawniéj, literaci w swych zgromadzeniach byli tylko jedną duszą i jedném ciałem, podobnie jak są wszystkie musujące perły w kielichu tylko jednym szampanem; za naszych czasów, cisną się oni w swych zgromadzeniach jak bierki w grze *domino;* cisną się mówię, ale się nie trzymają jak dusza z ciałem, a przezto samo nie mają jednego ducha mocy. Jestżeto istotną prawdą, że literatów podobnie jak bierki w *domino* przez interes poróżnić, pozyskać, że w nich grać, i nimi wygrać można? Możeumiałbym rozwiązać tę zagadkę, gdybym chciał, ale nie śmiém; albowiem wszystkich moich towarzyszy na Parnasie, bądź oni są wielcy, bądź mali, poważam; jednakże mimo to poważanie doznawałem jakowegoś ściśnienia serca, a szczególniéj w dniu owym, byłem jakby książka jaka pod śrubami prasy, ściśnięty, i ze wszystkich zmysłów moich tylko mi jeden zmysł smaku pozostał; wzrok mój bowiem straciłem

*) List ten wyjęliśmy z rossyjskiego Noworocznika pod nazwą: *Nowoselije;* jest on uznamionowaniem humorystycznéj muzy Bułgaryna.

tam przez zbyteczne igranie złudnych kolorów, słuch przez przesadzone pochwały, węch mój stał się węchem sarny, która wietrzy wszystkie sidła i zastawki; a jeżelim komu podał moję rękę nie oddawszy mu serca mego, wtedy drżałem z przestrachu. Tajemne przeczucie ostrzegało mnie, że jakąś nierozmyślność z własną krzywdą popełnić, albo przynajmniéj wymówić będę przymuszony.

Po obiedzie przyniesiono mi kartę, na któréj spisane były nazwiska wszystkich autorów, zamyślających dostarczyć tyle rękopisów, ile potrzeba do ułożenia porządnego noworocznika. Spojrzawszy tylko pobieżnie na ten poczet, zadrżałem, pomyśliwszy, iż samogłoski niektórych imion rykną z trwogi, gdy spółgłoski drugich imion obok siebie zobaczą. Gdyby wszystkie imiona te w mocnéj flaszy szczelnie zamknięto, zaiste flasza ta pękłaby przez potężne wzburzenie. Podobno dobrze się stało, że wszystkie te indywidua nie w flaszce, ale tylko przy flaszce się spotkały. Nakoniec pod temi świetnemi imionami podpisałem moje nazwisko na samym dole, jednakże nie dla skromności; albowiem ostatniego miejsca nie miałem za haniebne albo poniżające. Wszakże zdarzają się chwile, w których nierównie lepiéj jest być ostatnim, niż piérwszym. Ale tu idzie najszczególniéj o uiszczenie się, ile możności, w daném przyrzeczeniu. Lecz jakimże sposobem wywiążę się z mojego słowa? Otóż tu sęk. Spodziéwam się niezawodnie, iż zacni i bardzo zacni moi towarzysze Parnasu przyszlą ci bardzo ważne, doskonałe i treściwe artykuły do twojego noworocznika, a zatém na niczém ci zbywać nie będzie, jak tylko na tém, co właśnie teraz ci posyłam — posyłam ci Nic.

Upraszam cię, kochany przyjacielu, ażebyś tém Nic nie gardził; wszakże Nic z małém, nie mającém wartości zerem porównać można, a wiadomo, że z kombinacyi zer i jednostek, nawet milijony powstają! A zatém widzisz przyjacielu, że Nic nie jest substancyją wcale nic nie znaczącą, i owszém, Nic jest twórcą wszech rzeczy. Prosze wćpana! Rzuć też okiem na swoję szafę, która książkami jest nabita, potém zastanów się z łaski swojéj nad treścią naszych dzienników, sławnych romansów, pieśni, ód, balad i powieści? Z czegożto wszystko jest złożone? Jak mi Bóg miły, z samego tylko Nic. Cóż sądzisz o urojonéj sławie autora? Być może, że ona otwiéra mu pole do zaszczytów, jeżeli udowodni, że ma pieniądze, rodowitość i protekcyję, i jeżeli postępów zażywać umié; ale cóż mu pomoże sława bez tych wszystkich rzeczy? Nic i znowu Nic! A jednak to Nic ma większe powaby niż wszystko inne, co zamiar istnienia i usiłowań większéj części ludzi stanowi. Gdybyś w księgarniach i czytelniach swoich nié miał owego mnóstwa Nic, nie miałbyś téż tak wielkiéj ilości kupców i czytelników. Jestto niezawodnie najważniejsze, filozoficzne *axioma*, niezaprzeczona prawda, że świat to Nic nade wszystko przenosi, i że prawie wszyscy ludzie, uganiając się za tém Nic, życie swoje marnują. Pójdź téż i usiądź przy swojém oknie, a na Newskiéj-Perspektywie ujrzysz świat w małym zakresie. Zwidźmy tylko wszystkie owe bogate składy, na których zaiste w Petersburgu nie zbywa, pytam się, i cóż tam znajdziemy? Same tylko milutkie i pięknitkie Nic. Pójdźmy na ów bazar. Cóż tam zobaczysz? Oto z przepysznéj karéty wysiada jakiś jegomość nadęty, z ważną, pańską, głupio-dumną miną, nie mniéj jak cztérdzieście pudów ważący; prototyp mnogiéj liczby swych rówieńników. Wstępuje do sklepu, ogląda wszystko z osłupiałą, zagapioną uwagą, kupuje kilka filiżanek z jaspisu i porcelany, któremi niepotrzebnie jakiś próżny kąt w swym pałacu zapełni; kupuje kilka talérzy z mozaiki, na których nędzny ubogi nigdy soli i chleba nie ujrzy. Za wszystkie te czerepy, skorupy opasły jegomość ten daje wartość kilku tysięcy worów żyta, albo i pszenicy, które biédni poddani jego z krwawym potem czoła zebrali, a jasno-wiele-możny pan cieszy się niezmiernie, że tak wiele błyszczących Nic posiada, bo on wié z doświadczenia, jak wielce poważanym jest ten, który wiele niepotrzebnych Nic miéć może. Oddala się. Wchodzi jakaś młoda dama, równie z szlachetnego jak i łkliwego serca znana; gdyż w domu swoim dla ubogich zakłada loteryję dobroczynności, i już na samo wspomnienie o nędzy ludzkiéj wylewa łez strumienie! Takie łzy niewiast są perłami, które często-

kroć poeci w rymach opiéwają, tylko wielka szkoda, że ubodzy ani tych pereł sprzedać, ani sobie za nie chleba kupić nie mogą. Niestety! dama ta nic im ze swojéj strony ubóstwa udzielić nie może, bo pieniądze są dla niéj na inne i ważniejsze rzeczy potrzebne: dla niéj potrzeba szalu, bo szal dla damy salonowéj tak jest potrzebny, jak dla kotki kożuszek. Prócz tego potrzeba jéj koniecznie blondyn, korónek i mnóstwa takich rzeczy, o których niestety, że są Nic, powiedzieć nie mogę; bo za wiele poważam płeć piękną, abym przeciw niéj tak wielką niegrzeczność popełnił. I jakże mógłbym nazwać to Niczém, jakbym śmiał powiedzieć, że to jest Nic, gdy cena tych drobnostek biédnego męża częstokroć w Nic obraca i cały majątek jego chłonie? Jestżeto Nic, możnasz to nazwać Niczém, co dziwactwo niewiast zaspakaja i częstokroć im tak dziwnie słodkie pochlebstwa z ust wywabia? Gdybym powiedział damom, że wszystkie te rzeczy, które ony tak wielce cenią są Nic, i że one swych mężów za to Nic do zguby przywodzą, jak mi Bog miły! gniewałyby się na mnie, a ja nic straszliwszego nie znam, jak gniéw kobiéty! Wolę raczéj wejść sam w siebie i niezłomne w téj rzeczy zachować milczenie. Znam poetów (przynajmniéj takimi sami się zowią), którzyby za nic w świecie się nie przyznali, że Waltera Skota, Byrona, Göthego, Szyllera, Wiktora Hugo, Lamartina i tym podobnych okradli. Ja z mojéj strony szczérze wyznaję, żem u naszych młodych dam i modnych autorów, którzy u nóg ich wzdychają, nauczył się brać Nic za przedmiot rozprawiania. Nie inaczéj, mój przyjacielu, ja nie jestem jak tylko naśladowcą, albowiem z książek i zabaw salonowych skradłem wszystkie moje Nic, które ty w nakład bierzesz i tak dla swojéj, jak dla mojéj korzyści wszystkim tym sprzedajesz, którzy dla znalezienia tego Nic we wszystkich odcieniach, tego czczego Nic, z upodobaniem i pospiechem po wszystkich księgarniach się uganiają. Nie dawno pewien krytyk w czasopismie *Północna pszczoła* zażartował sobie ze mnie, utrzymując, że każde moje dzieło, bądź jest romans, pieśń albo powieść, pewną panującą ideę zawiéra, i że idea ta zawsze przyjemnym sposobem jakie filozoficzne, polityczne lub fizyjologiczne zadanie rozwiązuje. Złośliwy człowieku, zkąd ci ta śmiałość mnie w mojém własném pismie tak dotkliwie urażać? Wszakżeto prawie na jedno wychodzi, jak gdyby gość kijem obił gospodarza w jego własnym domu za to, że ten mu doradzał, aby podobnie jak pewne czworonożne zwiérzęta w błocie nie tarzał. Jestem prawie w tém przekonaniu, że jeżeli się do takiego sposobu pisania przykładać będę, wkrótce nawet samego Waltera Skota prześcignę, albowiem szynkownie nasze nie równie bardziéj są do natury zbliżone, a niżeli szkockie gospody piwne. Widzisz przyjacielu, jak moje ulubione Nic jest niewyczerpaném; ono jest źródłem tak dostarczającém, że gdybym w karbach mego pióra trzymać nie umiał, zapisałbym o niém wszystek papiér, który od lat dziesięciu w Rossyi wyrobiono. Lecz zakończę, i zostawię miejsce dla drugich, dodając to życzenie, oby moje Nic krytyków surowych nie oburzało, bo jeżeliby którzy przeciwko mnie powstali, słusznyby zarzut na siebie ściągnęli, że się za Nic i o Nic gniewali!«

Tadeusz Bułgaryn.

ROMANS
PODCZAS ROZBICIA OKRĘTU.

Osoby, które się z rozbitego amerykań. statku parowego, mającego nazwę *Puławski* wyratowały, opowiadają wiele ciekawych i straszliwych wypadków, a między innemi także wypadek (jużeśmy o nim w N. 4. t. r. Rozm. w krótkości nadmienili), a który się panu Ridge i miss Onslow wydarzył. W chwili kiedy pękł kocieł, był p. Ridge razem z drugimi na okręcie, i należał do najpiérwszych, którzy ocalić się starali; jednakże nie daleko od siebie postrzegł także młodą dziéwczynę, któréj obrońca już był utonął. Poskoczywszy ku niéj, chciał ją wziąć z sobą na łódkę, ale ją w natłoku stracił z oczu. Podczas gdy jéj szukał daremnie, odbiła łódka od okrętu. Ridge pochwyciwszy próżną beczkę rzucił się z nią w morze, i wkrótce postrzegł w wodzie jakąś kobiécą postać, która z śmiercią walczyła. Porzuciwszy swój korab', popłynął ku téj postaci i dostał się z nią znowu do beczki, która ich wprawdzie oboje unosiła, ale tylko tak, że im głowę z wody widać było. Byłato ta sama dziéwczyna, dla któréj on spóźnił się wsiąść w łódkę. Dziéwczyna postanowiła umrzéć, byle tylko on sam się na beczce mógł uratować, on zaś odrzekł: »Umrzemy razem, lub razem żyć będziem!« Po niejakiéj chwili uchwycili się ułamu ściany okrętowéj, na któréj już bezpiecznie płynęli, ale nie mieli ani kropli wody, ani kawałka chleba.

Z brzaskiem dnia nie widzieli na około siebie nic, jak tylko niebo i wodę; poźniéj ujrzeli ląd zdaleka, i mieli nadzieję, że ich woda ku niemu zaniesie; ale ku wieczorowi wiatr się obrócił, a z zaraniem dnia drugiego znowu im ląd z oczu zniknął. Dnia trzeciego spostrzegli okręt, lecz się go dowołać nie mogli. Gdy ich nakoniec znaleziono, byli oboje straszliwie od słońca spaleni i zupełnie głodem i trudem wycieńczeni, jednakże jeszcze przy zmysłach, i mówić mogli.

Odwaga, jaką młodzieniec okazał, niebezpieczeństwo, na jakie się naraził, a mianowicie wielkość

duszy, z jaka jéj życie ocalił chociaż oboje wcale się nie znali, wzbudziły w sercu dziéwczyny najtkliwsze uczucie wdzięczności, które, nim jeszcze głód i pragnienie dojmować im zaczęły, w namiętność się zmieniło. Młodzieniec widząc przytomność jéj umysłu, odwagę i gotowość dzielenia z nim jego losu, był tak mocno wzruszonym, że i w nim powstało uczucie, którego w sobie stłumić nie mógł. A tak na rozhukaném morzu, pośród okropności, które ich otaczało, w obec zguby, która ich oczekiwała, i w obec Boga, któremu wszystko jest widome, wyznali sobie miłość wzajemną, dając sobie słowo, że jeżeli uratowanymi zostaną, nigdy się nie rozłączą, kiedy już samo nieszczęście tak ściśle ich połączyło.

Dostawszy się na okręt, rzekł do dziéwczyny młodzieniec, iż ma sobie za powinność oświadczyć przed nią, że przez nieszczęście, które ich spotkało, cały swój majątek, niemal 25,000 dolarów utracił, że teraz zeszedł na żebraka, a między obcymi ludźmi nié ma nawet na opłacenie obiadu, i dla tego, jakkolwiek bolesném będzie dla niego rozłączenie, jednakże uwalnia ją od danego mu przyrzeczenia, jeżeliby opuścić go sobie życzyła. Gdy to wyrzekł dziéwczyna zalawszy się rzewnemi łzami, zapytała go, czy podobna, aby przez ubóstwo większe dotknąć ich mogło nieszczęście, niż to, w którém się przed chwilą oboje znajdowali. Młodzieniec oświadczył, iżby dla niéj jeszcze raz na podobne naraził się nieszczęście, i wynurzył swą radość z tego, iż ona chętnie w słowie swojém uiścić się pragnęła. Wtedy dopiéro dziéwczyna, usłyszawszy szczére wyznanie to, oznajmiła mu, że jest właścicielką majętności, wartującéj najmniéj 200,000 dolarów.

ZE LWOWA.

Żal i wzniesienie się ducha do Najwyższéj Istności rodziców po zgonie najukochańszéj i jedynéj córki dnia 13. stycznia 1839 r., przez Felixa Boznańskiego. Taki tytuł ma wyszłe właśnie u Piotra Pillera dziełko poezyjne, ozdobne z dwiema rycinami w formie książeczki do nabożeństwa wydane, obejmujące 119 stronic. Widać, że czułość prawdziwa i żal nieudany, nienaciągnięty, lecz z serca pochodzący, kierowały piórem autora, bo to każdy wiérsz okazuje; każda myśl jak kirem żałoby powleczona jest wspomnieniem wielkiéj straty i ukorzeniem się przed dawcą życia i śmierci ugodzonego nieszczęściem ducha, a co piszącego do wielu istotnie pięknych miejsc natchnęło. S. J.

Piérwszy zeszyt *Lwowianina*, zapowiedzianego przez Ludwika Zielińskiego w nowém, jako pismo czasowe wydaniu, właśnie prasę opuścił.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 28. i obejmuje: 1) Pożytek z rajgrasu, z trawy miodowéj i z stokłosy polnéj. 2) Prawdy dla rolnika. 3) O gonitwach koni (ciąg dalszy). Propozycyja do właścicieli gorzelni. 4) Poznać które płótno wapnem bielone. 5) Świece pachnące. 6) Sposób żeby wiele chleba z mało mąki upiec. 7) Atrament. 8) Séry z mléka kokosowego. 9) O wpływie materyi elektrycznéj.

Talent nie starzeje. Dyrekcyja *Théâtre-français* w Paryżu zapłaciła pannie Mars, która miała wyjechać na kilka tygodni, za jéj urlop 15,000 franków. Jak wielkie wrażenie wywiéra jeszcze ta stara artystka na Paryżanach, kiedy spekulacyjnych administratorów do takich ofiar skłonić jest w stanie! Jak spaniałomyślnymi są Francuzi, albo raczéj jak wielce umieją oni prawdziwy kunszt oceniać i ziarno talentu od przypadkowéj skorupy rozróżniać! Wiedzą oni, że sztuka nie w samym tylko powabie ciała mieszka.

Dom i grób Boccacia w Certaldo. Włość Certaldo, o 30 mil od Florencyi, słynie od 14go wieku jako miejsce urodzenia nieśmiertelnego Boccacia. Widać tam jeszcze obecnie dom, w którym się twórca włoskiéj prozy urodził, równie jak grób, który ostatnie jego szczątki zamyka. Czcigodne pomniki te były dawniéj zburzone i znieważone; odnowienie i zachowanie swoje winne są jednéj z najukształceńszych niewiast we Florencyi, Karolinie Lenzoni, która majątkiem swoim starała się wynagrodzić krzywdę, jaką w kolei czasu pamiątce tego wielkiego męża wyrządzono. Zacna dama ta zakupiła pustką stojący dom jego i odnowiwszy, przyozdobiła go starożytnemi meblami. W pokoju, w którym Boccacio pracował, umieściła także najpiękniejsze wydanie jego dzieł i portret przez Benvenutego malowany. Na wspomnienie zasługują stare okna, które się od 600 lat zachowały, tudzież studnia, łaźnia i nocna lampa. Boccacio był pochowany w kanonice w Certaldo, a na grobie jego położono prosty kamień z własnym jego napisem. W końcu 16go wieku Cetangio Tedaldi, były podesta włości Certaldo, wzniósł dla sławnego poety pomnik okazały. W r. 1788 gdy Leopold I. umarłych w kościele chować zakazał, rektor kanoniki certaldyjskiéj, nadużywając tego dobroczynnego rozporządzenia, nie dozwolił ostatniego spoczynku mężowi, któremu Włochy wielką część literackiej sławy i cywilizacyi są winni. Za rozkazem tego rektora wydobyto zwłoki Boccacia z kościoła i bez wszelkiego odznaczenia pogrzebano je na publicznym cmentarzu. Czaszkę i kości znaleziono dopiéro poźniej, zwitek zaś pargaminowy, który jak wiadomo w ołowianéj puszce przy zwłokach się znajdował, został przez tegoż burzyciela zarzuconym, tak, iż dotąd ani śladu nié ma tego dla dziejów literatury ważnego dokumentu. Rzeczona dama pospajawszy różne złomki piérwszego nagrobku, które znaleziono w kącie na dziedzińcu klasztoru, kazała je w pokoju Boccacia ustawić. Znajdują się na nich następujące wyrazy: *Per Pietro Giordani. MDCCCXXV. — Carlotta Lenconi de' Medici — In questa Camera abidata dal Boccacio — Raccolse le opere di Lui — Colloco il titolo del Suo distrutto sepolcro — Fece dipinger l'effigie — Dal Cavaliere Pietro Benvenuti.*

Zégarek Rossyniego. Pan Rossyni będąc nie dawnemi czasy w kawiarni *Tandale*, wyjął z kieszeni swój zégarek kosztowny, który za pociśnięciem sprężyny godziny powtarzać zaczął. Pewien nieznajomy usłyszawszy to, przybliżył się do niego, i podziwiał zégarek, co się panu Rossyniemu bardzo podobało, i chlubił się przed nim, że mu go król Francuzów za tyle nót darował, ile na nim brylantów w około koperty się znajduje. »Jestto rzadki zégarek,« rzekł nieznajomy, »ale o zakład idę, że wćpan nie znasz wszystkich jego przymiotów.« — »Ba jeszcze co,« odrzekł Rossyni, »mam go już od lat sześciu. Dotychczas mi jeszcze oni na sekundę nie chybił, bije on godziny, kwadranse i minuty, wskazuje dni, miesiąca, a za pociśnięciem téj sprężynki gra Pregierę z opery *Mojżesz*, i ja nié miałbym znać tego zégarka, ja, który go codziennie nakręcam i jak oka

w głowie strzegę!« — »A przecież wćpan nie znasz tego zegarka,« odrzekł nieznajomy. — »Mylisz się wćpan, ja go znam doskonale,« odparł Rossyni. — »Zaręczam wćpanu, że go nie znasz,« odrzekł powtórnie nieznajomy. »Postaw wćpan swój zegarek, a ja stawię 10,000 franków, że wćpan nie znasz wszystkich jego przymiotów.« Mowa ta uderzyła Rossyniego, nareszcie rzekł: »Mój panie, jeżeli wćpan masz dziesięć tysięcy franków na zbyciu, więc przystaję!« — »Zegarek ten gra jeszcze jednę aryję,« ozwał się w téj chwili nieznajomy, i zawiéra portret wćpana. W chwili gdy ta aryja słyszeć się daje, wyskakuje wizerunek wćpana, a za wizerunkiem jest napis, który dziesięć razy tyle jest wart, co ten zegarek razem z portretem. Otóż teraz wiesz wćpan już o wszystkiém, a jednak nie znajdziesz w nim ani swego portretu, ani aryi, o któréj właśnie nadmieniłem.« Obecni goście usłyszawszy to, powstali z miejsc swoich i zbliżyli się do Rossyniego, który się rozgniewał tém podziwieniem i rzekł: »Wćpan chcesz sobie zrobić igraszkę, ale ci się nie powiedzie! Idę o zakład!« Gdy Rossyni to wyrzekł, prosił nieznajomy o zegarek, pokręcił n zagięcia trzykrotnie, aż oto z pod spodu odskoczyła cienka, złota nakrywka, pod którą był portret Rossyniego ukryty, i téj samej chwili aryja: *Di tanti palpiti*, słyszeć się dała. »Przegrałem!« rzekł z westchnieniem i wcisnął nieznajomemu zegarek w rękę. »Zatrzymaj wćpan swój klejnot,« odrzekł tenże; »wygrana moja jest nierównie większą od téj, którą mi dajesz! Albowiem ja sam robiłem ten zegarek; nazywam się Plivée, jestem zegarmistrzem królewskim, i gdy Jego Król. Mość zamawiał u mnie ten zegarek, zapewniłem go, że pan Rossyni długo tę pamiątkę przy sobie nosić będzie, a przecież wszystkich jéj przymiotów nie dociecze. Właśnie temu lat sześć minęło, a zatém wywiązałem się z mego słowa.« Rossyni uściskał artystę. »Dziękuję wćpanu,« rzekł, »dziękuję mu jak najserdeczniéj. Atoli zawsze jeszcze w niespokojności zostaję! Wćpan mówiłeś mi o jakiémś napisie, cóżto jest za napis? Nie chciéjże zachować dla siebie tajemnicy, za pomocą któréj mógłbyś znowu wygrać ten klejnot.« — »Zegarek ten nic już więcéj w sobie nie zawiera jak tylko te trzy cyfry: 6, 31, i 61,« odrzekł artysta; »lecz powiedzieć nie mogę, co one oznaczać mają.« Rossyni zdumiał się, usłyszawszy te słowa, a Plivée się oddalił. »Sażto numera na loteryję,« rzekł Rossyni, »albo też oznaczają dzień śmierci mojéj? Mości Plivée, weź sobie ten zegarek, ale nie chciéj mnie dręczyć tajemnicą!« Plivée jeszcze się dotychczas nie oświadczył.

Śmierć okropna. W Kronstadzie krąży pogłoska, iż nie dawno zmarła córka pewnego, powszechnie poważanego obywatela w poblizkiém miasteczku V. jeszcze żyjąca pogrzebaną została. Do odkrycia tego wypadku przyczynić się miało przeczucie jéj przyjaciółki i służącéj domu, na życzenie których odkopano grób i otworzono trunnę, poczém się o istocie rzeczy z przestrachem przekonano. Ciało leżało z przewróconą i całkiem skrwawioną twarzą, a z głowy były wszystkie włosy wydarte!! O, jakże zbawienną ostrożnością są grobarnie! a choćby w lat sto jeden tylko tak smutny wydarzył się przypadek, nie byłożby już to dostateczną téj ostrożności nagrodą?! Jakże niewysłowione, okropne uczucie, jak straszliwa myśl jest tego człowieka, który się żywcem pogrzebanym być uczuje!!

Nowy gatunek granitu. W Londynie zaczęto nie dawno robić nowe chodniki. Materyjał do tego jest nowym wynalazkiem, który *kunsztownym granitem* się nazywa. Massa leje się podobnie jak asfalt w gorącym stanie na miałki piasek, z którym się łączy. Kilka minut jest dostatecznych do ostudzenia i zamienienia w najtwardszy kamień téj gorącéj massy. Chodniki tym sposobem wylane wyglądają jak gdyby były wyłożone pięknie szlufowanym, czarnym marmurem. Massa ta nie wciąga w siebie wilgoci; słońce nie wywiéra nań żadnego wpływu, jak na asfalt, i trwalsza jest niż marmur, co się ztąd okazuje, iż na kawałku téj massy, bez uszkodzenia jéj wyszlufować można kawał marmuru lub granitu. Twardość jéj okazała się z następującego doświadczenia: Kawał téj massy mający pięć stóp długości, a trzy szérokości i dwa całe grubości, nie rozpękł się, choć weń ogromnémi młotami biło kilku kowali, podczas gdy marmur, granit lub jakikolwiek inny kamień byłby się na kawałki rozleciał.

Posąg Szyllera. Podług najnowszych, bezstronnych doniesień ze Stutgardu, uroczystość przy odsłonieniu pomnika Szyllera nie była bynajmniéj tak świetną, jak ją powszechnie opisywano, i na jaką największy poeta niemiecki zasłużył. Prócz Wajmaru żadne inne miasto niemieckie deputacyi nie przysłało, ani nawet Jena, gdzie Szyller przez lat wiele był profesorem. Przyczyną tego miała być niedbałość i skąpstwo wydziału, kierującego wystawieniem posągu, który nie wielką ilość zapraszających odezw rozesłał i nie dość wcześnie program ogłosił. Nawet posąg Szyllera nie powiódł się tak, jak się tego po dłucie najpiérwszego z teraznięjszych rzeźbiarzy spodziéwano. Thorwaldson w posągu Szyllera nie przedstawił jenijalnego poetę, ale bardziéj myślącego filozofa. Szyller zamiast mieć wzrok w niebo wzniesiony, stoi pochylony z spuszczonemi w ziemię oczyma.

Trup rozdający pięstuki. W Paryżu wydarzył się osobliwszy wypadek. Stróże nocni jadąc wózem naładowanym trupami tak z *Morgue* (t. j: z publicznéj grobarni, do któréj zwykle zanoszą zabitych, utonionych w Sekwanie, lub téż zmarłych na ulicach Paryża, aby tamże od krewnych lub przyjacioł poznanymi być mogli), jakotéż i trupami ze szpitalnych grobarni na cmentarz, dla pogrzebania ich razem w jednym dole, mieli ten przypadek, iż się im wóz na skręcie ulicy wywrócił, i wszystkie trupy na ziemię wypadły. Stróże ładując znowu na wóz umarłych, postrzegli nagle, że jeden z nich mocno ruszać się zaczął. Lecz ponieważ podług przepisu wszystkie trupy w *Morgue* anatomicznie przez chyrurgów rozbiérane bywają, a zatém będąc przekonanymi, że człowiek, w którym wszystkie organy ciała są poprzecinane, na żaden sposób dłużéj żyć nie może, chcieli i tego, który się ruszał, wrzucić na wóz do drugich, lecz ten powstaje niespodzianie, z rąk się im wydziéra, i tak potężnie każdego z nich ugadza pięścią, że stróże strachem przejęci, porzuciwszy wóz, konie i umarłych, co mieli tchu uciekli. Po niejakiéj chwili opamiętawszy się, przyszło im na myśl, iż niepodobna, aby umarły mógł się im tak silnie pięściami dać uczuć, jak ten, który ich do ucieczki przymusił. Wracają więc do wozu i tam się rozwiązuje cała zagadka. O podal od karawanu znajdują spokojnie śpiącego, upitego drążnika, który wprzódy niezawodnie na tém samém leżał miejscu, na którém ich wóz z trupami się wywrócił, i którego oni mniemając, że to jest trup z grobarni, razem z drugimi umarłymi na wóz wrzucić chcieli. Jakoż wstrząsnąwszy nim przekonali się, że się nie mylili w swoim domyśle, albowiem drążnik przebudziwszy się, zaczął znowu ten sam manewr powtarzać, który już wprzódy tak skutecznie wykonał. Jednakże nic nie pomogło, stróże ujęli go i zaprowadzili na odwach, gdzie przynajmniéj pod dachem wyspać się mógł po swojém upiciu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*